

GRAŻYNA BORKOWSKA

Kryzys humanistyki, kryzys NPRH czy kryzys zaufania?

Artykuł prof. Kazimierza Stępnia *Nauka a biurokracja*, ogłoszony w 265 numerze „Pauzy Akademickiej”, sprowokował mnie do zabrania głosu raz jeszcze w sprawie Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Autor artykułu poruszył problem rozrostu biurokracji w nauce, paraliżującej funkcjonowanie wielu instytucji i spowalniającej najprostsze działania. Przykładowo posłużył się opisem procedur obowiązujących w Narodowym Centrum Nauki, coraz bardziej rozbudowanych, angażujących coraz więcej czasu i energii ze strony naukowców i urzędników. Profesor powołał się też na kilka przykładów pozytywnych, zaczerpniętych z doświadczeń zagranicznych, gdzie osoba upoważniona dokonywała od ręki niezbędnych korekt w formularzach i podejmowała stosowne decyzje. Artykuł stał się inspiracją do sformułowania następujących uwag.

Narodowy Program Rozwoju Humanistyki – I kadencja

Powołany do życia wiosną 2010 roku Narodowy Program Rozwoju Humanistyki powstał w wyniku przychylnego przyjęcia przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego apeli środowiska humanistycznego, zabiegającego o dodatkowe finansowanie zadań związanych z ochroną i twórczym rozwijaniem dziedzictwa narodowego, kultury narodowej oraz długoterminowych prac badawczych, dokumentacyjnych, edytorskich, słownikowych, a także inwentaryzacyjnych. Ostatecznie sformułowano trzy moduły konkursowe (przedstawiam je w telegraficznym skrócie): pierwszy, związany z wieloletnimi planami badawczymi i dokumentacyjnymi, drugi – adresowany do młodych badaczy, i trzeci – finansujący przekłady wybitnych prac polskich autorów na języki kongresowe. Środowisko humanistyczne przyjęło powołanie Programu z entuzjazmem; koledzy z innych branż – ze zrozumiałą rezerwą. NPRH był wszakże dodatkowym źródłem finansowym dla humanistów; fakt ten wyróżniał nas w sposób bardzo konkretny.

Programem zarządzała Rada złożona z przedstawicieli PAN, PAU, KRASP i Ministerstwa. W strukturze ministerialnej miała ona status zespołu doradczego, opłacanego „od posiedzenia” (czyli w wysokości ok. 400 złotych raz na kilka miesięcy). Pracę Rady

wspomagał jeden urzędnik (w okresach najbardziej wyťažonej pracy – jeszcze dwu innych). Tymczasem aplikacje płynęły szerokim nurtem; w sumie w ciągu czterech i pół roku rozpatrzyliśmy ponad 2 tysiące wniosków. W module pierwszym korzystaliśmy z pomocy trzech recenzentów, powoływanych do oceny każdego projektu, w pozostałych modułach decyzje podejmował ustanowiony przez Ministra (na wniosek Rady) zespół specjalistyczny (w tym przypadku wniosków nie wysyłaliśmy do recenzentów). Zarówno wobec punktacji zaproponowanej przez recenzentów, jak i wobec decyzji zespołu specjalistycznego Rada miała prawo zająć stanowisko aktywne, tj. dołączyć własną ocenę i ustalić ostateczną punktację, która nie musiała być średnią ocen cząstkowych. W odniesieniu do decyzji recenzentów korzystaliśmy od czasu do czasu z naszych uprawnień, w przypadku decyzji zespołu – zupełnie incydentalnie. Dodam jeszcze, że Rada dokonywała również preselekcji wniosków, tzn. kwalifikowała je do dalszych etapów konkursu lub odrzucała na samym progu konkursowych zmagani. Było to działanie niezbędne i popierane przez resort. Sporządzona na koniec procedury konkursowej lista wniosków trafiała do Ministra. On podejmował ostateczne decyzje, określając liczbę aplikacji przyjętych do finansowania. W ostatniej, tj. trzeciej, edycji projektów było tak dużo, że tylko te ocenione powyżej 90 punktów (na 100) dostały pieniądze.

Głosy krytyki i kolejne wyjaśnienia

Przedstawiony sposób pracy spotkał się z krytyką środowiska humanistycznego. Ujawniła się ona z całą mocą po zakończeniu naszej kadencji, co samo w sobie jest również godne uwagi, ale nie będę zajmować się ani analizą konkretnych uwag, ani naturą motywacji, jaka zachęcała do ich sformułowania. Interesują mnie główne linie sprzeciwu. Co nam przede wszystkim zarzucano? Najogólniej rzecz ujmując, zamianę struktury biurokratycznej na personalny, nieanonimowy, aktywny i w pełni odpowiedzialny udział w rozstrzyganiu konkursów. Skład Rady był znany, dziedziny, z którymi byli związani jej członkowie, również. Zatem każda ingerencja w ocenę końcową konkretnego wniosku, reprezentującego konkretną dziedzinę, była łatwa do identyfikacji. Jej autor – również. Wiedzieliśmy o tym. Uważaliśmy jednak, że powstrzymywanie się od ingerencji w nierzetelne lub niekompetentne decyzje recenzentów byłoby większym grzechem niż ewentualne podejrzenia o pychę, arogancję, niewiedzę itd. Liczyliśmy na odrobinę zaufania i zrozumienia dla przyjętych reguł. Wszak tylko Rada знаła całą pulę wniosków, ona więc mogła – przynajmniej teoretycznie – podejmować najbardziej racjonalne decyzje.

Środowisko naszych krytyków (mieliśmy takich od samego początku działania) nie dostrzegło jednak tych argumentów. Ostro wytykano nam rzekome błędy i łamanie ustalonych w nauce polskiej i światowej reguł, wskazując za wzór NCN. Domagano się struktury wielostopniowej, ściśle zdefiniowanej na każdym etapie konkursu; Rada miała

ustalać reguły; konkretnych rozstrzygnięć powinni dokonywać eksperci i recenzenci. Dlaczego tak właśnie? Tego nikt nigdy nie wyjaśnił. W ogóle nie zauważono, że w przypadku NPRH głównym dysponentem konkursów nie jest Rada (jak w NCN), ale Minister, władny dokonać wszystkich zmian, pełniący więc *de facto* funkcje NCN-owskiej Rady. Rada w NPRH automatycznie zajmowała miejsce o szczebel niżej, mieszcząc się w strukturach rozstrzygających konkursy, a nie stanowiących wszystkie jego reguły, bo mogła ustanowić tylko niektóre z nich i to pod okiem Ministra. Ponadto aż do znudzenia powoływano się na magiczne słowo „transparentność” – transparentne miały być zasady preselekcji (formułę, iż projekt jest niezgodny z celami konkursu uznano za co najmniej niewystarczającą), powody obniżenia lub podwyższenia końcowej punktacji, odbiegające od arytmetycznego „wyciągnięcia” średniej, ostateczny ranking. Zgłaszano pretensje do terminów ogłaszania konkursów (że np. wypadają w wakacje), powoływano się na informacje, z których miało wynikać, iż Rada podejmowała niektóre decyzje po zakończeniu kadencji, itp., itd.

W kilku już miejscach broniłam sposobu procedowania podjętego przez Radę. Powtórzę raz jeszcze: Rada świadomie odstąpiła od sposobu działania przyjętego w NCN. Po pierwsze, Ministerstwo nie ma warunków, aby stworzyć rozbudowany aparat biurokratyczny, podobny do NCN-owskiego. Nie ma urzędników, a ci, którzy są, nie mają doświadczeń w tego typu pracy. Doświadczeń i umiejętności. Nie można się nawet temu dziwić: Ministerstwo nie jest (a nawet nie powinno być) miejscem, w którym dokonuje się dystrybucji pieniędzy na projekty badawcze. Ustawy z roku 2010 dokładnie oddzieliły funkcje Ministerstwa od działań niezależnych agencji zajmujących się grantami. NPRH, przywracający Ministerstwu aktywną funkcję dystrybutora środków grantowych, to sytuacja nadzwyczajna, nieprzewidziana ustawowo, wyjątkowa. I – w pewnym sensie – anachroniczna. Dlatego podjęcie rozwiązań innych niż w NCN było nie tylko uzasadnione, ale i konieczne. Trzeba było z tego galimatiasu dobrych intencji, szlachetnych celów i dziur prawno-organizacyjnych sprawnie wybrnąć. Budowanie w Ministerstwie drugiego NCN było niemożliwe nie tylko z powodów organizacyjnych, było niecelowe strategicznie. Wskazywało na okoliczności, które podnosili przedstawiciele innych nauk: że tylko NCN może prawnie rozdzielać granty; prawnie, tzn. według reguł anonimowo-biurokratycznych. Jeśli przyjąć, że to jedyny sposób, to musielibyśmy przyznać, że nasi koledzy mieli rację. Sposób organizacji NPRH był próbą oparcia systemu grantowego na innych regułach niż reguły biurokracji. Jeśli się nie powiódł, to trzeba powiedzieć, dlaczego tak się stało. To ważne nie tylko dla NPRH, „starej” rady, jej członków i naszego samopoczucia. To ważna kwestia dla ogólnych reguł obowiązujących w polskiej nauce, dla kondycji środowiska naukowego i naszego – przepraszam za górnolotność – etosu.

Po drugie, organizacja konkursów NPRH jest pochodną jego genezy i struktury. Geneza jest taka, że instytucje reprezentujące polską naukę (przypomnę: PAN, PAU,

KRASP, MNiSW) powierzyły wskazanej przez siebie Radzie zaszczytny obowiązek realizacji Programu. Odbił się skomplikowany i długotrwały proces indykcji; w wyniku tych zabiegów powstała Rada, złożona z wybitnych uczonych z różnych dziedzin (siebie wyłączam z tej oceny). Wielu członków Rady należało do wąskiej grupy pomysłodawców Programu. Nic więc dziwnego, że Rada przyjęła pełną odpowiedzialność za sposób rozstrzygnięcia konkursów i poziom projektów kwalifikowanych do finansowania, dążąc do wyłonienia najlepszych z najlepszych i unikając przerzucenia społecznych (środowiskowych) kosztów podjętych decyzji na inne ciała. Zresztą, jak napisałam wcześniej, status Rady odpowiadał w pełni działaniom eksperckim. Czasami realizacja tych zadań wymagała wejścia w kolizję z ocenami recenzentów. Czy takie interwencje działały na niekorzyść Programu i w konsekwencji – polskiej nauki? Na to pytanie będzie można odpowiedzieć dopiero po latach, kiedy porównamy projekty zrealizowane według zasad wprowadzonych przez I kadencję NPRH z projektami realizowanymi według innych reguł. Dzisiaj możemy jedynie narzekać, krytykować i gdybać.

Od czego zależało powodzenie Programu?

Odpowiadam: powodzenie Programu zależało od trzech czynników – od działań Ministerstwa, Rady i środowiska. Ministerstwo przychyliło się do apeli grupy wybitnych profesorów i przeznaczyło sporą sumę pieniędzy (dotąd: 280 mln!) na dodatkowe dofinansowanie prac humanistycznych. Powołany Program nie miał precedensów w Polsce; żaden znany mi kraj nie dysponuje funduszem podobnego rodzaju. Wypracowanie i rozstrzygnięcie konkursów powierzono Radzie, ale – siłą rzeczy – najważniejsze decyzje pozostały w rękach Ministra i podległych mu urzędników. Oni regulowali tak kluczowe kwestie, jak: kalendarz poszczególnych edycji, warunki pracy Rady i zespołu specjalistycznego, warunki składania wniosków (rejestracja elektroniczna dopiero od drugiej edycji), dostęp do informacji (MNiSW zbyt rzadko aktualizowało swoją stronę internetową, co niejednokrotnie prowadziło do chaosu), tempo i elastyczność podejmowanych decyzji, wysokość sumy przeznaczanej na poszczególne konkursy i edycje, zmiany w składzie Rady, kompetencje urzędników obsługujących Program. Wymienione kwestie pozostawały poza naszą wiedzą i możliwościami. Mimo to do nas kierowano zarzuty. I słusznie. Bo firmując Program, ponosiliśmy odpowiedzialność za jego funkcjonowanie, nawet gdy nie ponosiliśmy winy za wprowadzone rozwiązania. Akceptowaliśmy z bólem ten stan rzeczy, mając świadomość wyjątkowości, a jednocześnie „nadmiarowości” Programu: był obcym, pozaustawowym tworem w strukturze finansowych reguł wprowadzonych w obszar nauki. Niestety, środowisko o tym zapomniało i dalej zapomina, domagając się częściowej instytucjonalizacji efektów wynikających z jego działania. Myślę tutaj np. o działaniach zmierzających do zmiany zasad parametryzacji, tj. do wliczania grantów NPRH do oceny jednostek naukowych. Postulat z pozoru słuszny; granty

NPRH nie różni się jakościowo od grantów przyznawanych przez NCN, a przynajmniej mam taką nadzieję. Obawiam się jednak, że dążąc do zrównania we wszystkich projektów NPRH z projektami NCN, naruszamy kruche podstawy wydzielenia Programu ze struktury grantowej obowiązującej w Polsce. Dlaczego dwie agencje mają zajmować się dokładnie tym samym, czym mogłaby się zająć – i to w sposób profesjonalny – jedna?

Pisząc o Ministerstwie, muszę wspomnieć o jeszcze jednej kwestii. Debata na temat NPRH i pracy Rady toczy się od kilku miesięcy. Jest prawie jednobrzmiąco krytyczna. Ministerstwo, współdecydujące o sprawności funkcjonowania Programu, akceptujące jego reguły, a jednocześnie dość odporne wobec sygnalizowanych prób udoskonalenia konkursów przez Radę I kadencji, nie bierze w tej dyskusji udziału. Milczy. Przynajmniej oficjalnie. Zmiana na stanowisku ministra tylko częściowo tłumaczy to zachowanie. Staram się zrozumieć tę taktykę: dostaliście Program, pieniądze, zarządzajcie nimi w sposób satysfakcjonujący. Tylko – jak już zaznaczyłam – ważne decyzje wynikają z ministerialnego usytuowania Programu i Ministerstwo pozostaje jego dysponentem. Jako przewodnicząca Rady w ubiegłej kadencji chciałabym znać stosunek Ministerstwa do bieżącej debaty. Wysyłane sygnały są niejasne: powołanie do składu nowej Rady trzech jej byłych członków (w tym mnie) świadczyć może o rezerwie Pani Minister wobec totalnej krytyki Programu, z drugiej strony – sformułowane przez Ministra obowiązki nowej Rady jej członkowie chcą odczytywać jako wyraz niezadowolenia resortu z poprzedników (czy słusznie?) i jako konieczność zbudowania owej wielopiętrowej struktury wzorowanej na NCN i oznaczającej pełną biurokratyzację NPRH. Czy to jedyna droga? I czy naprawdę taka była/jest intencja Ministra?

O Radzie napisałam już właściwie wszystko. Przejdę do środowiska. Ono tu jest najważniejsze – jako wnioskodawca zbiorowy, jako źródło, z którego można czerpać mądrość recenzentów, jako surowy kontroler poczynań Rady. Oczywiście, rozumiem rozczarowanie autorów projektów, gdy po paru miesiącach oczekiwania, dowiadują się o niepowodzeniu, a jeszcze dodatkowo – o ingerencji konkretnego jurora we wniosek (można się domyślić, kto w jakiej sprawie zabierał głos). Rozumiem, więc nie skomentuję działań zmierzających do wyegzekwowania od członków Rady konkretnej odpowiedzi na pytanie: dlaczego nie dostałam grantu? Czasami można bowiem powiedzieć tylko jedno: byli lepsi. A to jest odpowiedź najgorsza z możliwych. Nie prowadzi do uspokojenia sytuacji, ale dodatkowo ją rozgrzewa. Pominę więc ten problem, kłopotliwy dla obu stron. Nadmienię jedynie, że oprócz roszczeniowości projektodawcy bardzo często wykazywali się lekkim stosunkiem do pieniędzy publicznych: wnioski bywały przeszacowane kilkakrotnie (o kilkaset procent!). Właśnie w takich przypadkach członkowie Rady podejmowali najczęstsze interwencje, sprzeczne niekiedy ze stanowiskiem recenzentów. Ci z kolei nierzadko omijali lub traktowali zdawkowo obowiązkową przecież ocenę kosztorysu. Czasami nawet o tym Radę informowali, przynajmniej, iż nie

będą komentować podanych kalkulacji, bo nie znają się na pieniądzach! Wiem, że praca recenzencka jest trudna i czasochłonna, ale właśnie recenzenci byli jedyną dobrze opłacaną agendą Programu, poza tym nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, że bez tego typu zobowiązań żaden system grantowy nie mógłby istnieć. Dlatego pozostawiam w niewdzięcznej pamięci tych spośród kolegów, którzy odmawiali oceny projektów (lub robili to niestarannie). Niektórzy z nich byli beneficjentami NPRH. Niektórzy byli beneficjentami i używali tego jako argumentu, pisząc, iż nie podejmą się oceny wniosku, bo właśnie realizują własny...

Stwarzało to sytuacje trudne i niewygodne dla Rady, ale – jednak – zrozumiałe. Znacznie bardziej intryguje mnie inna kwestia, o którą zahaczyłam wcześniej. Brak refleksji na temat statusu NPRH – i wynikająca z tego faktu lawina oczekiwań, często wzajemnie sprzecznych. Zakładam, że koledzy są świadomi, iż Program powstał poza ustawami z roku 2010, że poniekąd uchyla przyjęte tam zasady finansowania nauki (postanowiono, że granty będą rozstrzygane w niezależnych od ministra agencjach, a NPRH taką strukturą nie jest). Skąd więc bierze się presja, aby upodobnić jeden konkurs do zupełnie innych, NPRH do NCN? Bo agencja ta działa dobrze? Zgadzam się, NCN jest instytucją sprawną, ale przecież zupełnie inną i w dodatku niewolną od błędów, takich choćby, jak te, które wytknął jej w przywołanym artykule prof. Stępień. Nawiasem mówiąc, w tekście tym zabrakło jednej kwestii: wskazówki, czym można zastąpić nieznośną biurokrację w nauce. Otóż, nie ulega wątpliwości, że kontrpropozycją może być tylko wzajemne zaufanie, dżentelmeńska umowa między zainteresowanymi stronami. Pisząc tak wiele o konieczności przeniesienia do NPRH reguł biurokratycznych obowiązujących w NCN (termin „biurokracja” traktuję tu neutralnie), potwierdzamy powszechny brak zaufania do innych wartości niż prawo Parkinsona. Oczywiście, zaufanie nie wystarczy, rozliczenie projektów i finansów przeznaczonych na naukę nie może opierać się na podstawach tak ulotnych, jak deklarowana uczciwość czy dobra wola, ale gdyby wkalkulować w nasze działania szacunek do partnerów, rzetelność, gospodarność, zaufanie, zrozumienie, akceptację ogólnych reguł gry, to ilość formularzy można by pewnie zmniejszyć, a procedury usprawnić. Trudniej to zrobić w odniesieniu do ogólnych mechanizmów finansowania nauki, w stosunku do małego Programu mogło to się udać, przynosząc wszystkim rozliczne korzyści.

Wracając do mniej fortunnego scenariusza: można upominać się o to, aby granty NPRH były wliczane do oceny parametryzacyjnej i można upominać się o wiele jeszcze innych rozwiązań prawnych, tylko zastanówmy się, czy to będzie dla polskiej humanistyki korzystne. Bo jeśli całkowicie uzgodnimy procedury grantowe w NCN i NPRH oraz drobne profity, jakie przynoszą, jeśli będziemy domagali się – jak niedawno trójka autorów – publicznego (zbiorowego) ustalania profilu NPRH, albo tak jak dziekani i rektorzy – większych odpisów na tzw. koszty pośrednie, to zgubimy argumenty przemawia-

jące za wyjątkowością Programu. Skoro NPRH ma być konkursem działającym według reguł wyszlifowanych do perfekcji przez NCN, skoro rezerwujemy mu miejsce w algorytmie parametryzacyjnym, skoro chcemy całkowitej instytucjonalizacji Programu, obligatoryjnego wprzęgnięcia go w młyny biurokracji, to – przy niejasnych różnicach tematycznych w stosunku do konkursów organizowanych w NCN, o czym dalej – trudno będzie dostrzec wyraźny powód do tego, by wyodrębnić ministerialny konkurs z istniejących struktur organizacji nauki. Konsekwencją okaże się postulat przekierowania konkursów do NCN; postulat, który pojawił się już w dyskusji i został odrzucony przez członków nowej Rady, traktujących to wezwanie niemal jak zdradę. Ale opowiadając się za powtórzeniem wariantu biurokratycznego (odnoszę się tylko do tego, co zostało dotąd podane do publicznej wiadomości), nowa Rada potwierdza niechcący pozorną słuszność takiego postulatu. Skoro ma być, jak w NCN, to dlaczego nie oddać spraw w ręce NCN?

Odpodobnić NPRH

To zupełnie jasne, że logicznym warunkiem uzasadniającym istnienie Programu jest jego odróżnienie od konkursów ustalonych w NCN. Narodowy Program Rozwoju Humanistyki musi realizować te potrzeby polskiej humanistyki, których nie obejmują badania podstawowe preferowane przez NCN. I musi to robić w sposób różny od NCN-owskiego. Tylko łączne spełnienie obu tych warunków stanowi o zasadności powołania NPRH.

NCN nie rozpatruje grantów długofalowych, wymagających wieloletniego finansowania. Nie jest zainteresowane pracami edytorsko-dokumentacyjnymi, które traktuje jako wymykające się definicji badań podstawowych; nie zajmuje się umiędzynarodowieniem polskiej nauki. To są te przestrzenie badawcze, które powinien zagospodarować Program, doprecyzowując, że chodzi przede wszystkim o inicjatywy badawcze, mające pierwszorzędne znaczenie dla kultury narodowej i dla badań nad kulturą narodową. Nie widzę w tej chwili żadnych innych tematów i ujęć badawczych, które nie mogłyby stać się podstawą aplikacji składanych do NCN i musiałyby pojawić się w Programie.

Ekskluzywny charakter Programu powinien określać również reguły jego rozstrzygania. Aby uniknąć, a przynajmniej aby próbować uniknąć roszczeń ze strony wnioskodawców, należałoby z góry określić maksymalną ilość wniosków przyjętych do rozpatrywania, np. łącznie 100 w obu konkursach (pierwszym, nastawionym na ważne długoterminowe projekty badawcze i edytorsko-dokumentacyjne, oraz drugim – przekładowym). Każdy wniosek, przyjęty do konkursu po wstępnej selekcji dokonywanej przez Radę w drodze dyskusji i głosowania (tak zresztą działo się w I kadencji), byłby oceniany przez członka Rady i recenzenta zewnętrznego (i jeden, i drugi musiałby zostać opłacony). W przypadku rozbieżności większych niż 10 punktów (na 100) recenzent byłby

zapraszany na posiedzenie Rady i – po dyskusjach – formułowano by ocenę ostateczną, uzgodnioną. W przypadkach skrajnych, gdyby do uzgodnienia oceny nie dochodziło, istniałaby możliwość powołania drugiego recenzenta zewnętrznego. Lista stu wniosków byłaby przekazywana do Ministra. Lista mogłaby być opatrzona komentarzem Rady co do zasadności postawienia w jakimś miejscu kreski, dzielącej wnioski przyjęte do finansowania od reszty. Ostateczna decyzja – jak zawsze – byłaby w rękach szefa resortu nauki. Wynika z tego, że maksymalnie finansowanie mogłoby zyskać 100 projektów. Zakładam, że byłyby to dzieła naprawdę wybitne, uczciwie oszacowane, godne oddzielnego Programu. I godne sumiennego, rzetelnego, popartego dyskusją procedowania. Wyobrażam sobie też gościnny udział Ministra w posiedzeniach (lub choćby – posiedzeniu) Rady, aby sam mógł się przekonać, jak pracuje Rada, jakimi kryteriami się kieruje. Nie ma bowiem co udawać, że Ministra w Programie nie ma. Jest – i dobrze by się stało, żeby swym gościnnym współuczestnictwem w obradach Rady to potwierdził. A że łamię to zasady NCN-owskie, bolońskie, strasburskie, kalifornijskie i inne – to przecież z góry wiemy!

Tak zdefiniowane konkursy i takie sposoby ich rozstrzygania czyniłyby zadość wszystkim podmiotom zaangażowanym w Program: ministerialnym ambicjom podniesienia poziomu merytorycznego i poziomu finansowego polskiej humanistyki, środowiskowym lękom, że konkursy są za mało „przejrzyste”, obowiązkom Rady, która chce – jak zakładam – działać aktywnie, odpowiedzialnie i racjonalnie. Udział członków Rady w procesie oceny wniosków, stowarzyszony z udziałem recenzenta zewnętrznego, spełnia te wysokie wymagania. Zupełne uchylene się Rady od procesu oceny – przetrzucenie wszelkich czynności ewaluacyjnych na inne podmioty (minister, eksperci, recenzenci, urzędnicy i komputer liczący średnią punktów) podważa zasadność struktury NPRH.

Odbiurokratyzować NPRH

Wracam na chwilę do dyskusji o tym, że granty realizowane w NPRH powinny być „wliczane” do oceny jednostek. Słyszałam też skargi wykonawców projektów, że ich udział w grantie nie jest punktowany, że dodatkowe plusy otrzymują tylko kierownicy zgłoszonych przedsięwzięć. Są też pretensje, że tylko jedna jednostka może być liderem projektu, choć zespół badawczy rekrutuje się z wielu instytucji. Moje pytanie brzmi: czy my w ogóle potrafimy funkcjonować inaczej, nie wyliczając punktów, nie dbając o biurokratyczne parametry? W intencji ojców-założycieli NPRH miał być od tego wolny. Miał być oazą myśli, pomysłowości, twórczej odwagi. Mogli do niego aplikować i młodzi badacze, i profesorowie-emeryci, i nieubiegające się o dotację statutową oraz dobrą ocenę parametryzacyjną – towarzystwa naukowe. Nie uczelnie miały mieć profity, ale nauka polska. Nie o pieniądze i punkty chodziło, ale o idee.

Po czterech latach toniemy w sporach, ale nie ideowych, tylko punktowych. Wszyscy chcą na Programie coś zyskać – dodatkowe parametry, dodatkowe apanaże. Nie o to przecież chodziło. NPRH miał być miejscem realizacji niespełnionych planów polskiej humanistyki – dzisiaj takich, jutro innych. Miał podnosić nasze zawodowe samopoczucie, przyciągać młodych zdolnych, gwarantować finansowanie projektów wymagających czasu, wspomagać ochronę naszych zasobów kulturowych, a także – gdyby zrodziły się pomysły przekraczające skalę nowatorstwa pożądaną w NCN – pozwalać na kontrolowane eksperymenty. Zamiast trzymać się tych reguł, zaczęliśmy systematycznie zarzynać Program, wpychając na siłę to, co miało być inne, w dobrze znane biurokratyczne rygory. Rygory, których podobno nie lubimy!

Skoro NPRH na prawach pewnego przypadku funkcjonuje poza systemem organizacji i finansowania nauki, to nie zmieniamy tego usytuowania. Tylko w tym miejscu może sensownie spełniać swoje zadania albo nie będzie ich spełniać wcale.

Humanities, National Programme, or trust in crisis?

The reader is reminded of the original idea behind the National Programme for the Development of Humanities (Polish abbr.: NPRH), as an institution providing an additional source of funding for projects in the field of humanities. While the scheme is of use to the humanities milieu, it is rather apparent that it undermines the rules of Polish science financing as provided in the Laws of 2010 (envisioning no direct influence from the Minister of Knowledge on funding research projects). This distinctness, along with a number of other, less considerable, circumstances makes the Programme incomparable with the National Science Centre (NCN), which is an independent agency. The *National Programme's* *raison d'être* is that it has to be, and remain, completely dissimilar to the NCN, both in substantive (the competitions held ought to cover the fields other than funded by the Centre) and organisational terms (the actions taken should essentially be based on milieu-centred conciliation and agreement, rather than overly extended bureaucratic structures).

Key words: science, humanities, research, financing/funding

